

9 Za kogo Kościół — i my sami — uważamy Jezusa? (11 czerwca 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus . . . Dobry wieczór państwu! W Imię Ojca, i Syna . . . Ojciec nasz . . . Stolicę Mądrości . . .

Raz jeszcze rozpoczęliśmy od modlitwy, i to nie tylko zwyczajowo ale dlatego, że to właśnie modlitwa, która otwiera refleksję nad Słowem Bożym, otwiera nas jednocześnie na to, żebyśmy to Słowo Boże przyjęli jak najgłębiej, a nie tylko powierzchownie. Żebyśmy sięgnęli do tego, co w Słowie Bożym jest najważniejsze.

I dzisiaj znów kolejny raz, tym razem ostatni przed wakacjami, bardzo serdecznie państwa witam. Dni w odróżnieniu od jesieni, od zimy, od wczesnej wiosny, są najdłuższe w roku. Rozpoczynamy więc za dnia, i skończymy za dnia. I w ten piękny czerwcowy wieczór jednocześnie zakończymy nasze tegoroczne konferencje, naszą refleksję, która została poświęcona w tym roku naturze i charakterowi Kościoła tak, jak widzi to Pismo Święte. A więc zajmowaliśmy się w naszej refleksji biblijną eklezjologią. Okazało się, że ta refleksja stała się niezwykle aktualna, zwłaszcza mniej więcej pół roku temu, kiedy to Warszawa przeżywała swoje bardzo dramatyczne dni. I kiedy to z tej próby raz jeszcze Kościół w naszej stolicy, Kościół w naszej ojczyźnie wychodził obroną ręką prosząc Pana Boga, by nami wszystkimi opiekował się i nas strzegł szczególnie na takich bardzo dużych zakrętach dziejów, które przyszło i nam również przeżyć.

Dzisiaj kończymy ten cykl i chciałbym, abyśmy raz jeszcze w tej refleksji nad naturą, powinnościami i charakterem Kościoła cofnęli się do Pisma Świętego. I przejrzymy epizod, który państwo bardzo dobrze znają. Ale zastanowimy się nad tym epizodem jeszcze od innej strony. A przewodnikami w dzisiejszej refleksji będzie nam egzegeza, czyli objaśnianie, komentowanie Pisma Świętego dokonane przez dwóch wielkich ludzi naszych czasów, dwóch kolejnych papieży. Jeden to Ojciec Święty Jan Paweł II, i sięgniemy na chwilę po jego książkę „Przekroczyć próg nadziei”, która od 13 lat już kształtuje naszą wiarę. A także sięgniemy po inną książkę, po inne rozważania, które ukazały się kilka miesięcy temu. Jest to książka Ojca Świętego Benedykta XVI, opatrzona tytułem „Jezus z Nazaretu”. Jedna i druga książka nie są do łatwego czytania. Jedna i druga książka to są książki trudne. Dlatego że nie sposób, żeby o rzeczach, które są trudne, i o sprawach, które są trudne, mówić tak, żeby to nie wymagało żadnego intelektualnego czy duchowego wysiłku. Otóż wystarczy popatrzeć na tę książkę, a zwłaszcza na jej środek, by widzieć, że przeczytałem ją bardzo wiele razy. Kilkanaście to chyba za mało, może nawet kilkadziesiąt razy. Jest to jedna z tych książek, po które najchętniej sięgałem w rozmaitych okolicznościach, ta książka Ojca Świętego Jana Pawła II „Przekroczyć próg nadziei”. I zachęcam — może zwłaszcza kiedy skończy się lato, wczesną jesienią — żeby ci z państwa, którzy jeszcze po nią nie sięgali, z flamastrem w rękę spróbowali przez myśl Jana Pawła II się przedostać.

Ta druga książka pod wieloma względami jest jeszcze głębsza, Ojca Świętego Benedykta XVI, niż książka Jana Pawła II. Benedykt XVI jest niedoścignionym teologiem, czyli rozważa o Panu Bogu i o Jego sprawach używając języka w sposób mistrzowski. Jest to książka którą, jeżeli znamy trochę teologię, to czyta się naprawdę jak powieść, jak fascynujące rozważania w których papież jest niesłychanie odważny i niesłychanie konsekwentny. Ukończył tę książkę zaledwie kilka miesięcy temu. Została przetłumaczona na wiele języków, także na język polski, i do niej też dzisiaj sięgniemy. Bo ta książka, zatytułowana „Jezus z Nazaretu”, jest zarazem książką o Kościele. A papież mówi w tej książce, że dzieląc się swoimi rozważaniami chce odsłonić swoją osobistą drogę do Boga, i swoją osobistą drogę do Chrystusa.

Otóż w tym stwierdzeniu papieża, w tym wyznaniu papieża, można dopatrzeć się w gruncie rzeczy tego, co stanowi o istocie Kościoła. Kościół to jest rzeczywistość, która łączy, gromadzi, zbiera, karmi tych wszystkich, którzy odnaleźli i wciąż odnajdują swoją osobistą drogę do Boga, prowadzącą przez Jezusa Chrystusa. Tak również jest z nami. Powiedzieliśmy kilka razy podczas tegorocznej naszej refleksji, że od XIX wieku, od czasów, kiedy w myśli współczesnej pojawiły się rozmaite prądy liberalne, pojawiła się także tendencja, którą można by streścić w słowach: „Bóg tak! Kościół nie!”, albo: „Chrystus tak! Kościół nie!”. I ta tendencja, wyrażana w XIX wieku zwłaszcza w Niemczech i w zachodniej Europie, w kościołach protestanckich głównie wtedy, ta tendencja została przeniesiona na nasz grunt. I nie ma już tych szat naukowości, i nie jest pod

maską liberalnej teologii, nie ma szat akademickości. Stała się zwyczajna, można by powiedzieć – szara. I bardzo wielu ludzi przekuło ją na życie codzienne mówiąc: „W Boga wierzę, ale Kościoła nie potrzebuję. Chrystusa uznaję, ale Kościół omijam. Układam sobie życie z Bogiem i z Chrystusem bez pomocy, i przynależności do Kościoła”. I dzisiaj, raz jeszcze, kiedy zbliżają się wakacje i kiedy tak czy inaczej na pewno z takimi postawami się zetkniemy, to raz jeszcze musimy sobie postawić pytanie: „Dlaczego Kościół?” W XIX wieku był nawet niemiecki myśliciel, który powiedział mniej więcej tak: „Jezus głosił królestwo Boże, czyli panowanie i rządy Boga, ale zamiast tego, zamiast królestwa Bożego, powstał Kościół”. I w ten sposób przeprowadzono taką antytezę, takie napięcie, taki brak jednoznaczności pomiędzy Chrystusem i tym, czego On dokonał, a Kościołem, do którego należymy. W ten sposób sugeruje się, że Kościół jest rzeczywistością zewnętrzną, niepotrzebną, tak czy inaczej zbyteczną. I że można ułożyć sobie życie bez Kościoła, orientując się ku Panu Bogu i ku Chrystusowi tak, jak gdyby Kościół był całkowicie zbyteczny. Ponieważ taka sugestia wydaje się nawet atrakcyjna, i ponieważ ma ona nawet cechy, można by powiedzieć, takiej swoistej mody, która wydaje się nam zasadna — bo rzeczywiście człowiekowi może przyjść do głowy, że Pan Bóg – tak, Chrystus – tak, Kościół – nie albo niekoniecznie — że człowiek może znaleźć albo może szukać swojej osobistej, indywidualnej i wyłącznie swojej drogi do Pana Boga, to trzeba nam się z tą sugestią, z tym podszeptem jak gdyby zmierzyć, na niego odpowiedzieć.

Szukamy odpowiedzi w Ewangelii. I znajdziemy tą odpowiedź, jak mówią również obaj papieże, Jan Paweł II i Benedykt XVI, przede wszystkim w słynnym epizodzie rozmowy Piotra z Jezusem, ale nie tylko Piotra, bo i pozostałych Apostołów, pod Cezareą Filipową. Otóż zwróćmy uwagę, że ten epizod — co bardzo mocno podkreśla Benedykt XVI — ma miejsce za życia Jezusa. To nie jest epizod, który pochodzi z okresu po zmartwychwstaniu, tylko dotyczy historycznego Jezusa. Tego Jezusa, który chodził po palestyńskiej ziemi, tego Jezusa, który nauczał, który głosił, i który to Jezus w pewnym momencie swojego życia zakłada Kościół. Ale nie tyle zakłada Kościół, bo ten Kościół powstanie tak na dobre — mówiliśmy o tym — w dzień Zesłania Ducha Świętego, ile stawia, jeżeli tak można powiedzieć, umieszcza kamień węgielny pod ten Kościół, t tym kamieniem węgielnym czyni Piotra. Można by powiedzieć, że Piotr staje się tym ogniwem, które będzie łączyło ziemskie życie Jezusa z tą rzeczywistością życia Zbawiciela po zmartwychwstaniu i po wniebowstąpieniu.

Epizod jest tak ogólnie znany, że wydaje nam się, że nic specjalnie nowego z niego się nie dowiemy. Dzisiaj powiemy sobie jednak kilka myśli, które nie są nowe, ale z drugiej strony kilka takich myśli, które też nie są bardzo powszechne, nie są codzienne, i które powinny nam otworzyć oczy na nowe aspekty tej rzeczywistości, której ten epizod dotyczy. Czytamy w Piśmie Świętym, w Ewangelii św. Mateusza tak:

Gdy Jezus przyszedł w okolice Cezarei Filipowej, pytał swych uczniów:

Najpierw trzeba zwrócić uwagę na miejsce, bo to jest bardzo ważne — Cezarea Filipowa. Otóż jest to miejsce, które znajduje się najbardziej na północ całej Ziemi Świętej. Ono jest wspomniane w Nowym Testamencie tylko raz jeden, tutaj. Jest to punkt położony na północnym-wschodzie Ziemi Świętej, u stóp góry Hermon, tam, gdzie rozpoczyna się rzeka Jordan. Stosunkowo wysoko. Dobrze widoczne z całej Ziemi Świętej o tyle, ponieważ góra Hermon, która ma prawie 3000 m wysokości, przez większą część roku jest pokryta śniegiem. Tylko późnym latem i wczesną jesienią tego śniegu nie ma, albo prawie nie ma. Natomiast jest to ewenement na całym Bliskim Wschodzie, że w takim klimacie subtropikalnym mamy górę, która jest ośnieżona.

Jezus udał się tam tylko raz jeden. I kiedy się udał? Udał się tam wtedy, kiedy dokończył swojego nauczania, zakończył swoje nauczanie w zasadzie, i zakończył swoją działalność. Upłynęły trzy lata. Przez te trzy lata nauczał o Bogu. Mówił kim jest Pan Bóg, jak trzeba żyć, odsłaniał rozmaite aspekty tajemnicy Pana Boga. Mówił przypowieści, dokonywał rzeczy wielkich, dokonywał cudów, poruszał ludzkie serca, uzdrawiał. Na wszelkie sposoby ludzi próbował zainteresować i pozyskać. I oto teraz dokonuje się coś nowego. Mianowicie Jezus kieruje się do Jerozolimy. Ale z Galilei — bo w Galilei cały czas nauczał, na północy Ziemi Świętej — idzie jeszcze bardziej na północ. To tak, jak gdyby ktoś u nas nauczał na Pomorzu, a zmierzając do Warszawy zawędrował najpierw na Hel. I z tego Helu próbował ogarnąć niejako w symboliczny sposób całą Polskę. Oczywiście z Helu Polski nie widać. I spod Hermonu też całej Ziemi Świętej nie widać, ale widać znaczne jej połacie. A przede wszystkim człowiek, który tam jest, ma świadomość, że znajduje się u jakiejś

granicy. I Jezus ma świadomość, że znajduje się na granicy, i oto teraz rozpocznie swoją podróż w kierunku Jerozolimy. Ale można by powiedzieć po ludzku, że tę podróż chce jak gdyby przedłużyć. Tak jak gdyby przeczuwał, nie tylko przeczuwał — wiedział, że to, co Go spotka w Jerozolimie, będzie trudne, będzie krwawe, będzie kosztowało Go mękę i śmierć. A więc chce, żeby ta droga trwała dłużej. I chce jednocześnie, żeby w tej drodze do Jerozolimy towarzyszyli mu ci, którzy są najbliżsi.

Do tej pory był dla nich Nauczycielem, a oni starali się jego nauki zapamiętać i według nich postępować. Od tej pory dokonuje się coś nowego. Mianowicie z uczniów mają stać się Jego naśladowcami. Nie wystarczy już tylko, że przyjmują nauki Jezusa, ale mają się uczyć tego, jak żyć z Jezusem po to, żeby umieć żyć z Jezusem wówczas, kiedy Go zabraknie, kiedy Go nie będzie. Udają się więc tam do Cezarei Filipowej. I trzeba nam jeszcze wiedzieć, że w starożytności znajdowało się tam sanktuarium pogańskie ku czci pogańskiego bożka greckiego pochodzenia, który nazywał się Pan. I owemu bożkowi oddawano tam cześć. Okolice Cezarei Filipowej są przepiękne dlatego, że jest zielono. Źródła Jordanu, tej rzeki, która toczy swoje wody do Morza Martwego. Jest zawsze świeże powietrze, są dookoła góry, które tworzą niezwykłą atmosferę. Jest to jeden z najpiękniejszych zakątków Ziemi Świętej, a zarazem trudno dostępny. Bo o ile dzisiaj jedzie się tam oczywiście autokarem, o tyle w starożytności trzeba było piąć się do góry, bo jest położony bardzo wysoko, i to kosztowało bardzo wiele wysiłku. Jezus tam z Apostołami wchodzi. Szuka osobności, szuka oddalenia, szuka — można by powiedzieć — bardzo osobistego kontaktu z nimi. Bo rozmowa, która za chwilę będzie, będzie niesłychanie ważna. Otóż są takie momenty w naszym życiu, każdy je ma, kiedy trzeba sobie postawić pytania najbardziej zasadnicze. I często zdarza się tak, że pomagają nam w tym geografia. Tzn. pomagają nam w tym ukształtowanie, pomagają nam w tym ziemia, którą widzimy, to, co podziwiamy, to, co porusza nasze serce. Ja myślę, że każdy i każda z nas gdzieś tam w zakamarkach swojego sumienia ma takie miejsca, które są nie tylko miejscami na mapie, ale które w równym albo nawet w większym stopniu są miejscami w sercu, we wnętrzu. Takim miejscem miała stać się Cezarea Filipowa. Tak właśnie położona na krańcu, na krańcu Ziemi Świętej, miała odsłonić najgłębszy sens obecności Jezusa razem z uczniami, i na świecie.

Gdy Jezus przyszedł w okolice Cezarei Filipowej, pytał swych uczniów:

Pytał nie dlatego, że nie wiedział, ale pytał po to, żeby się upewnić. Pytał po to, aby skłonić do refleksji. Pytał ich tak, jak nauczyciel pyta studentów, jak nauczyciel pyta uczniów — nie dlatego, że chce się dowiedzieć czegoś, czego sam nie wie, aczkolwiek można się czasami bardzo wiele nowego dowiedzieć — ile raczej chce się dowiedzieć co student, co uczeń na dany temat wie, jak to traktuje, jak na to patrzy, jak to odbiera i jak to przeżywa. I Jezus też chce zobaczyć kim są Apostołowie po trzech latach jego publicznej działalności. Do tej pory byli w jego szkole. Chce z nich uczynić ludzi nowych. Ale chce też zobaczyć, czym oni różnią się od innych ludzi, zwłaszcza od tych, którzy z Jezusem bezpośrednio i blisko do czynienia nie mieli. I tu dotykamy pierwszego wymiaru natury Kościoła. Należymy do Kościoła, jesteśmy chrześcijanami, związaliśmy swoje życie z Jezusem, i teraz ważne jest pytanie: Czym różnimy się od innych ludzi? Czy rzeczywiście pomiędzy życiem chrześcijan, postępowaniem chrześcijan, logiką naszą, istnieje jakaś różnica w stosunku do tych, którzy za chrześcijan się nie podają, i którzy do Kościoła nie należą?

Oto jest pierwsza, można by powiedzieć, bardzo ważna podstawa, na której buduje się chrześcijańska tożsamość. Każdy i każda z nas musi od czasu do czasu zadawać sobie pytanie czym nasze życie różni się od życia tych, którzy żyją tak, jak gdyby Chrystusa nie znali. A skoro my Go znamy, i skoro my Go uznaliśmy i przyjęliśmy, to powinny być w naszym życiu czytelne znaki Jego obecności. Ale nie chodzi tylko o pewne formuły, o pewne zachowania, które są rozpoznawalne. Chodzi przede wszystkim o odpowiedź na najgłębsze spośród pytań, która nas odróżnia od innych ludzi. Mianowicie pytania o naszą relację, o nasz stosunek wobec Jezusa. To pytanie pojawia się tutaj. Jezus zwracając się do swoich najbliższych, uczniów, przebywając z nimi na osobności, przebywając w tym pięknym miejscu, na krańcu Ziemi Świętej, skąd można ogarnąć wszystko, Jezus pyta ich tak:

«Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?»

Syn Człowieczy to oczywiście jego tytuł, odnoszący się do Niego, którego – jak widać z tego fragmentu – często używał w spotkaniu ze swoimi najbliższymi. Jest to jednocześnie tytuł, który jest zakorzeniony w Starym Testamencie, przede wszystkim w Księdze Daniela. On wskazuje na niezwykłość Jezusowej tożsamości — do tego wątku wrócimy za chwilę. «Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?» — mówiąc prościej: „Za kogo ludzie Mnie uważają?, Co ludzie o Mnie mówią?” Apostołowie musieli to wszystko słyszeć. Apostołowie byli tak jak kapelan przy biskupie, jak kapelan przy papieżu. Dobry kapelan słyszy nie tylko to, co mówi biskup, ale słyszy to, co dzieje się dookoła. Musi mieć dobre rozeznanie o otoczeniu choćby po to, żeby zabezpieczyć tego, przy którym jest, przed jakąś łatwowiernością, albo przed popadaniem w pychę, czy przed jakąś czołobitnością itd. Jezus pyta: „Co ludzie o Mnie mówią?” I Apostołowie odpowiadają:

«Jedni za Jana Chrzciciela,

To przedziwne na pierwszy rzut oka. Dlatego, że Jan Chrzciciel nieco wcześniej, kilkanaście miesięcy wcześniej został ścięty przez Heroda. Jan Chrzciciel nie żyje. Pamiętamy, że w starożytności było telewizji, i radia nie było, i gazet nie było. To, co ludzie wiedzieli, było ze słuchu. Wiedzieli z opowiadania. Wiedziano na terenie Palestyny, że Jan Chrzciciel nie żyje. Ale jednocześnie byli tacy, którzy nie dopuszczali do siebie możliwości, żeby człowiek, który tak głosił Boga, żeby ten człowiek został całkowicie unicestwiony. W świecie semickim powszechna była wiara w to, że ludzie dobrzy wraz ze swoją śmiercią wracają do tego świata, i są w nim obecni. Może to jakaś odmiana wiary w reinkarnację? Ale pewniej jest to sposób na obronę Pana Boga. Dlaczego Pan Bóg miałby dopuszczać, aby życie sprawiedliwych odeszło bezpowrotnie, aby bezpowrotnie zostało przerwane? Zatem byli ludzie, którzy mówili o Jezusie, że to jest Jan Chrzciciel, który zmartwychwstał. Ponieważ Jana Chrzciciela nigdy na oczy nie widzieli, znali tylko z opowiadań, to takie utożsamienie między ludźmi było możliwe. Pamiętajmy, że chodziło o ludzi zupełnie prostych, a tego rodzaju pogłoski rozchodziły się na zasadzie plotki. Tu nie o to chodzi, czy to jest wiarygodne, prawdopodobne, czy nie — tylko ludzie tak sobie mówili: „Niemożliwe, żeby Jan Chrzciciel odszedł na zawsze! Herod rozprawił się z nim, ale Bóg spowodował, że Jan Chrzciciel wrócił. I właśnie mówili o Jezusie: „Jan Chrzciciel”. Dalej:

inni za Eliasza,

Tu już przenosimy się w rzeczywistość zupełnie inną. Eliasz żył w IX wieku przed Chrystusem, ok. r. 850 przed Chrystusem. Podstawa do tych domniemań jest taka sama, jak w przypadku Jana Chrzciciela. Ale Jan Chrzciciel żył niedawno, Eliasz — bardzo dawno. Zatem, ponieważ Eliasz był znany z gorliwości, a Jezus działając w Galilei działał w bliskości góry Karmel, gdzie w dawnej przeszłości nauczał Eliasz, wobec tego wśród ludzi pojawiło się takie przekonanie, że to Eliasz, dawny prorok, powstał do nowego życia i że to on naucza i on dokonuje rozmaitych znaków. Kolejna opinia to:

jeszcze inni za Jeremiasza

A to już jest bardzo ciekawe. Jest to opinia, która musiała mieć związek z Jerozolimą. Dlatego, że Jeremiasz był prorokiem niezwykłym. Żył w VII i VI wieku przed Chrystusem, zatem znacznie później niż Eliasz. Pochodził z Anatot, to są przedmieścia dzisiejszej Jerozolimy, i przebywał w sąsiedztwie świątyni jerozolimskiej. Ale przebywając w sąsiedztwie tej świątyni głosił rzeczy, które innych oburzały. Jeremiasz bowiem wskazywał na świątynię jerozolimską i mówił tak: „Przypatrzcie się, jak żyjecie! Kraść, zabijać, uprawiać haniebne rzeczy! A potem przychodzicie do Domu Pańskiego” — mówił do swoich rodaków — „i mówicie: «Tu jesteśmy bezpieczni»”. I Jeremiasz dodawał: „Nie! To nie może być tak, że żyjecie jak wam się podoba, natomiast tutaj czujecie się bezpieczni. Przyjdzie dzień, że ta świątynia zostanie zburzona. Że to miejsce zostanie zaorane. Jeremiasz został schwyty, pojmany i wrzucony do wyschniętej cysterny po to, żeby tam z głodu i pragnienia umarł. Na szczęście został stamtąd wyratowany. Natomiast wkrótce potem świątynia jerozolimska spłonęła od żagwi podrzuconej przez Babilończyków. Był rok 587 przed Chrystusem. Słowa Jeremiasza spełniły się co do jednego. Zatem ci, którzy mówią o Jezusie, myślą sobie: „Istnieje podobieństwo między Jezusem, który bardzo surowo odnosił się do świątyni jerozolimskiej, i

do sprawowanego w niej kultu, a Jeremiaszem. Zatem Jezus to Jeremiasz, który wrócił do życia. Ktoś taki, jak Jeremiasz, albo nawet sam prorok. I wreszcie czwarta opinia:

albo za jednego z proroków»”

A więc za Jana Chrzciciela, za Eliasza, za Jeremiasza, albo za jednego z proroków. Jezus przez swoich współczesnych, przez ludzi, którzy nie pozostawali z Nim na co dzień, jest traktowany jako prorok. My często mówiliśmy o tym, że w naszych skojarzeniach prorok to jest ktoś, kto zapowiada przyszłość. Prorokuje — czyli tak, jak zapowiadacz pogody, jak meteorolog czy jakiś futurolog. Otóż nic bardziej błędnego! Bo w biblijnym tego słowa znaczeniu prorok to człowiek, który dokonuje religijnej oceny rzeczywistości, czyli teraźniejszości i przeszłości, po to, by na tej podstawie kształtować przyszłość. Nie zapowiadać przyszłość, ale kształtować przyszłość. Ci prorocy, których tutaj mamy: Jan Chrzciciel, Eliasz, Jeremiasz, inni prorocy, bardzo surowo odnosili się do rzeczywistości, jaka istniała w ich czasach. Napominali, wskazywali wady swoich rodaków. Czasami czynili to w języku bardzo mocnym, dosadnym. Wzywali do nawrócenia. Dokonywali czynności symbolicznych. Gотовi byli cierpieć. Ludzie wiedzieli, że prorok ma rację. Ale tak robili po swojemu. Prorocy cierpieli, umierali. Pozostawała po nich pamięć. I właśnie ta pamięć pozwalała ludziom przetrwać. Ludzie nie zawsze są w stanie, potrafią, żyć zgodnie z ideałem, który znają. Ale potrzebni są zawsze prorocy po to, żeby człowiek, i w ogóle ludzie, mieli świadomość, że coś było nie w porządku, że można było inaczej, że można było lepiej, że trzeba inaczej. Że nawet jeżeli człowiek nie jest w stanie żyć tak, jak powinien, to powinno być inaczej. Właśnie po to jest potrzebny prorok. Skuteczność nauczania prorockiego nie odbywa się wyłącznie za życia proroka. Bardzo wielu proroków w konfrontacji z rzeczywistością ponosi porażkę. Ta porażka bywa bardzo dotkliwa. Dlatego, że ludzie odnoszą się do nich niechętnie, nieufnie i wrogo. Ale z czasowej perspektywy to właśnie prorok odnosi sukces bo ci, którzy żyją, przeżyją proroków i przychodzą później, stwierdzają że: „wielki prorok był wśród nas”.

Tak dochodzimy do drugiej warstwy, która rzuca nam światło na to, czym jest Kościół i jaka jest jego misja. Mianowicie niezbywalną funkcją Kościoła, niezbywalnym przeznaczeniem Kościoła, jest jego posłannictwo prorockie, profetyczne, czyli religijna ocena rzeczywistości. Zarówno rzeczywistości w wymiarze osobistym i indywidualnym, jak i rzeczywistości w wymiarze społecznym, zbiorowym i narodowym. Prorok, a więc i Kościół, który tę prorocką funkcję pełni, musi niejako iść pod prąd. Widzimy to bardzo dobrze w naszych czasach, kiedy trzeba przypominać najbardziej podstawowe przykazania. Trzeba przypominać najbardziej podstawowe normy etyczne. I kiedy ci, którzy to robią, narażają się na to, że są ośmieszani, poniewierani, stawiani poza nawiasem, pokazywani publicznie, wyszydzani, rozmaite etykiety się im przyklepia itd. Ale prorok nie może od tego odejść, i Kościół nie może tego zaniechać. Wydaje mi się — i pewnie to jest również sposobność do refleksji dla państwa — że w ostatnim czasie ta profetyczna funkcja Kościoła w Polsce jakby przygasła. Dlatego, że ona wymaga odwagi, wymaga męstwa. Wymaga tego, że trzeba nieraz swoim życiem, albo swoim miejscem w Kościele, nazwijmy w cudzysłowie: „karierą”, zapłacić za to, co się głosi. Zapłacić za poglądy, które stanowią nieodłączną część tej profetycznej funkcji. Zwróćmy uwagę, że w tzw. czasach PRL-u obecność Kościoła w życiu publicznym była wyraźniejsza, bardziej przejrzysta, bardziej słyszalna — i więcej kosztowała. Przecież to tamte lata przyniosły wielu męczenników, znanych i nieznanym, którzy oddawali swoje życie albo byli w jakikolwiek inny sposób usuwani, bądź stawiani na margines za to, co głosili.

Dzisiaj wydawać by się mogło, że ta profetyczna funkcja jest osłabiona. Myślę, że to jest rzecz do refleksji dla nas. Jest wiele zjawisk życia społecznego, życia narodowego, które umykają takiej profetycznej ocenie. Umykają takiej właśnie odważnej ocenie — czy to będzie sytuacja wewnątrz kraju: sprawa bezrobocia, biedy, nędzy, rozwarstwienia społecznego, które przecież istnieje, sprawa korupcji, krzywdy, nadmiernego bogacenia się, żądzy zysku za wszelką cenę. Czy to będzie sytuacja międzynarodowa: wywoływanie rozmaitych wojen, wchodzenie w te wojny, wysyłanie żołnierzy tysiące kilometrów od własnej Ojczyzny — głos Kościoła jest słabo słyszalny. Czasami można odnieść wrażenie, że chodzi o drobiazgi. Ale te drobiazgi też mówią coś o współczesnym świecie. Kilka dni temu amerykański prezydent, który u nas był 3 albo 4 godziny, został przyjęty przez Ojca Świętego Benedykta XVI. I w spotkaniu z Benedyktem XVI prezydent największego imperium odpowiada papieżowi: „Yes, sir!” — „Tak, proszę pana!” Mówią, że to gafa. Jeżeli gafa, to jak taki

człowiek może być prezydent imperium? Jak jest możliwe, żeby mógł decydować o losach milionów i miliardów ludzi? A jeżeli to jest przemyślane? — To, to samo pytanie! Jak jest możliwe, żeby w spotkaniu dwóch ludzi, dwóch takich ludzi, nie zachować proporcji w tym, co dotyczy języka? Ale nie tylko jest to ważne, co wydarzyło się w Watykanie. Ważne jest to, że dowiadujemy się o takich rzeczach gdzieś tam późno, pod koniec audycji czy programu, jako taki kwiatek do kożucha. I nikt nie ma odwagi, żeby zabrać wobec tego głos mocno, i żeby powiedzieć, że coś tu jest głęboko nie w porządku. Otóż ta profetyczna funkcja Kościoła, powtarzam raz jeszcze, zawsze wymaga odwagi. Kiedy jej brakuje, to oczywiście ona schodzi na plan dalszy. A Kościół, zamiast tworzyć rzeczywistość, która przynależy do Pana Boga, tylko odzwierciedla to, co się w świecie dzieje. Jest tak, jak zwietrzała sól, która oczywiście nie specjalnie jest potrzebna.

Ktoś mógłby pomyśleć, że ten profetyczny wymiar przynależy tylko do biskupów, do kapłanów, do zakonników. Otóż rzecz cała polega na tym, że ten profetyczny wymiar jest wymagany od wszystkich — od ludzi świeckich też, wszędzie tam, gdzie jesteśmy.

Ludzie uważają Go za Jana Chrzciciela, za Eliasza, za Jeremiasza, albo za jednego z proroków — bo Jezus mówił z mocą, mówił odważnie, nie lękał się. Stawał wobec faryzeuszy, wobec sadyceuszy, wobec możnych tego świata, wobec Heroda, potem miał stanąć wobec Sanhedrynu. Stawał również wobec prostych ludzi i pokazywał im wady, i pokazywał ich problemy i kłopoty. Mówiono: „To jest prorok. Nikt nie mówił tak” — czytamy w Ewangelii — „jeżeli by nie został posłany od Boga. Ten człowiek mówi w imię Boga.”

Czy to, co mówili ludzie o Jezusie, czy było prawdą? Tak, było prawdą! Jezus był prorokiem. Na wzór Jana Chrzciciela, na wzór Jeremiasza, Eliasza, czy jednego z proroków, pełnił tę prorocką funkcję. Ale jednocześnie czujemy, że w tym, co ludzie mówią o Jezusie, nie jest cała prawda. Jest to prawdziwe, ale nie oddaje pełni tego, kim Jezus był. I znów to napięcie mamy po dzień dzisiejszy. Mianowicie ludzie mówią o Jezusie wiele prawdziwych rzeczy. Mówią, że był dobrym człowiekiem, nauczycielem sprawiedliwości, mistrzem, rabinem z Galilei, że dokonywał niezwykłych znaków, że głosił piękną naukę. Pojawiają się uczone prace, w których Jezus stawiany jest obok Sokratesa, obok Konfucjusza, a w naszych czasach mówi się: był taki, jak Mahatma Gandhi. Jezus pojmowany jest i objaśniany w kategoriach ludzkich. Tak ludzie Go rozumieli i postrzegali — jako człowieka posłanego przez Boga. Jako dobrego człowieka, świętobliwego męża — ale ta perspektywa nie wychodziła poza perspektywę ludzką. Musiała istnieć perspektywa inna, która była właściwa uczniom Jezusa, i która również właściwa jest Kościołowi. Nie wystarczy powiedzieć, że Jezus był dobrym człowiekiem, wspaniałym Mistrzem, nauczycielem, wychowawcą, autorem pięknych, poruszających serce przypowieści, lekarzem ludzkich dusz, i tym podobnie, itd. Otóż takich dobrych, wspaniałych, pięknych ludzi, którzy potrafią innych porwać i unieść za sobą, jest w każdym pokoleniu mniej albo więcej, ale oni są. Każde pokolenie ma takich idoli, których stara się naśladować. Naśladować w ich dobroci, w ich bohaterstwie, w ich poświęceniu, w ich ofierze. My w naszych czasach też mamy takich. Albert Schweizer — wszechstronnie uzdolniony, który udał się do Afryki i poświęcił tam swoje życie Bogu. Mahatma Gandhi — który powiedział, że z całą pewnością stałby się wyznawcą albo uczniem Jezusa, tylko że przeszkadzają w tym chrześcijaństwo, bo w chrześcijanach nie może się dopatrzeć cnót jesusowych. Mamy piękne życie Matki Teresy z Kalkuty, i tylu, tylu innych ludzi. Czym więc różni się opinia ze strony uczniów od opinii ze strony zwyczajnych ludzi?

Tu dochodzimy do sedna tego dzisiejszego epizodu.

Jezus zapytał ich: «A wy za kogo Mnie uważacie?»

To pytanie stanowi taki zawias, na którym opiera się cała Ewangelia. Gdybyśmy mieli postawić najważniejsze z pytań, które nam, jako chrześcijanom postawić można, to byłoby to właśnie pytanie. Co ludzie mówią o Jezusie? Mówią to, to, to ... „A wy za kogo Mnie uważacie?” Co dało, co przyniosło te trzy lata bliskości uczniów z Jezusem? Co przyniosło całe nasze dotychczasowe życie? Za kogo my Go uważamy? Nie tylko wspólnie razem, ale za kogo uważamy Go indywidualnie i osobiście? Czym nasza opinia o Jezusie różni się od opinii innych? Musi się różnić, skoro należymy do grona Jego wyznawców, skoro należymy do grona Jego uczniów. Tu mamy taką odpowiedź, którą doskonale znamy:

Odpowiedział Szymon Piotr: «Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego».

Uczniów było dwunastu, ale odpowiada jeden. Ci do tej pory referowali opinie o Jezusie. Ale tym, który reprezentuje, jest jeden. W Kościele potrzebne jest zwierzchnictwo, hierarchia, której fundamentem jest autorytet. Piotr odpowiada, ponieważ cieszy się autorytetem w gronie Dwunastu. Nie ma teraz dyskusji pomiędzy uczniami: Słuchajcie, to który z nas powie? Który z nas powie, za kogo my uważamy Jezusa? Nie ma narady, nie ma obrad. Bardzo często chce się wprowadzić do Kościoła taki właśnie element rozdyktowania. Tymczasem o ile dyskusje są bardzo potrzebne i twórcze, to są też takie dziedziny, w których dyskusja nie wnosi nic nowego. Bo co da np. dyskusja na temat zasadności przykazania „Czcij ojca swego i matkę swoją”? Nawet jeżeli się znajdą tacy, którzy powiedzą, że to przykazanie nie ma sensu, i cześć ojca i matki nie należy w jakikolwiek sposób propagować ani nakładać, to przecież cała ta dyskusja nie ma sensu, bo niszczy sam porządek społeczny. Niszczy sam porządek moralny, niszczy prawo wypisane w naszych sercach, sumieniach, wnętrzach, niszczy więzi międzypokoleniowe. Niszczy to, co nas łączy, co pozwala nam zbudować zaufanie itd. To samo dotyczy innych przykazań z tym, że mniej to czujemy. Często przeprowadzane są rozmaite sondaże. I wyniki tych sondaży mają kształtować moralność! Nie! Ani moralność, ani wiara w Boga nie są kształtowane przez statystyki! Statystyki tylko odzwierciedlają stan ludzi. Odzwierciedlają to, co ludzie myślą, to, jak ludzie żyją. I jeżeli te statystyki są alarmujące, to nie jest znak, że trzeba zmieniać przykazania, tylko to jest znak, że trzeba wychować ludzi.

Więc tu, między Apostołami, nie ma dyskusji. Piotr, można by powiedzieć — spontanicznie, na zasadzie autorytetu, wypowiada się. I w Kościele fundamentalna jest rola Piotra. Wszyscy ci, którzy tę rolę w dawnej i bliższej przeszłości negowali, kończyli tym, że Kościół się dzielił, słabł, rozpadał, i w końcu — że te podziały były bardzo dotkliwe i stały się bardzo bolesne. Otóż dzisiejszy Kościół jest bardzo podzielony głównie dlatego, że osłabiona jest w nim rola Piotra. Dopiero w naszych czasach, w wieku XX, ta rola Piotra poprzez kolejnych papieży zaczęła być odbudowywana. Tutaj szczególnie trzeba zwrócić uwagę na Jana XXIII, na Pawła VI, na Jana Pawła II, teraz na Benedykta XVI. Odbudowują ten autorytet nie przez siłę, nie przez potęgę, nie przez państwo kościelne, ale przez moc własnego świadectwa danego Chrystusowi, i przez niezłomność swojego nauczania w zakresie doktryny i moralności. Czy państwo nie zauważyli tego, że wiele wspólnot chrześcijańskich, albo znajdujących się na obrzeżach chrześcijaństwa, odeszło bardzo daleko od Ewangelii dlatego, że odeszło bardzo daleko od Piotra. Jeżeli zastanowimy się tak w sposób uczciwy, rzetelny, to jak możliwe są np. w Kościele jakieś pozytywne nastawienia — dam jeden tylko przykład — do związków homoseksualnych, traktowanych jako małżeństwa? Jak z Pisma Świętego i z tradycji Kościoła można wyprowadzić, uzasadnić tego rodzaju związki? A jednak są wspólnoty, są kościoły, które to czynią. Dzieje się tak dlatego, że tam, gdzie brakuje autorytetu, to tam narzucane są, czy pojawiają się fałszywe autorytety. Podobnie jak tam, gdzie brakuje religii, to pojawia się nie ateizm, ale zabobon. Tam, gdzie brakuje prawdziwej wiary, to pojawia się nie brak wiary, lecz przesady. Proszę zwrócić uwagę na to — i dalej od nas, i u nas — jak ten mechanizm się sprawdza. Gdzie wiara słabnie i gdzie słabnie prawdziwa religijność, to ludzie, którzy nie wierzą w Boga, są w stanie uwierzyć we wszystko. To nie jest tak, że oni nie wierzą w nic. Można im podawać do wierzenia coś, co wydaje się zupełnie karkołomne — i przyjmą to bezkrytycznie. Wiara bowiem ma to do siebie, że ratuje rozum, ocala rozum. Prawdziwie dobrze pojmowana wiara pozwala nam przeżywać Pana Boga używając rozumu. Tam, gdzie wiary nie ma, tam rozum śpi. I tam pojawiają się właśnie przesady, zabobony, i to wszystko, co towarzyszy również nowoczesnemu światu. Dochodzi do takich parodii, że kiedy włączamy sieci internetowe to zobaczymy w nich, albo na pewnych programach telewizyjnych, osoby, które wróżą z kart, osoby, które stawiają kabałę. Zobaczymy rozmaitych przepowiadaczy przyszłości, tych, którzy chcą za nas rozwiązywać nasze życiowe problemy. I tam, gdzie zanika głębokie, rzetelne życie wewnętrzne, tam pojawiają się wypaczenia. A miejsce spowiedników zajmują wróżki i psychoanalicy. Otóż ten wątek, ta rola Piotra we wspólnocie Dwunastu, po dzień dzisiejszy pozostaje niesłuchanie ważna. To nie był kaprys ani przypadek, że właśnie Piotr się wypowiedział. Dlatego i dziś, jeżeli słyszymy to, co dotyczy wiary i moralności, to nie jest czymś niezwykłym, że wsłuchujemy się w głos Piotra naszych czasów. Bo to on ma obowiązek udzielić odpowiedzi, która jest normatywna i wiążąca. Piotr odpowiedział:

«Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego».

Te słowa są dokładnym przekładem z hebrajskiego: **Atta Mashijah Ben Adonai haj** — tak by to brzmiało po hebrajsku. Otóż są to słowa głęboko zakorzenione w tradycji biblijnego Izraela, w jego oczekiwaniach mesjańskich, i głęboko zakorzenione w mentalności żydowskiej. Piotr wypowiada to, na co cały Izrael czekał przez całe swoje dzieje. **Atta** — to, **Atta Mashijah** — Mesjasz, **Ben** — Syn, **Adonai** — Pan, **Ben Adonai haj** — Syn Pana, Syn Boga. Nie ma bardziej hebrajskiego, semickiego, żydowskiego sposobu wyrażania się, niż tutaj. W języku Starego Testamentu Piotr opisuje rzeczywistość Jezusa. Czuje, że stoi przed Tajemnicą. Czuje, że stoi przed Człowiekiem, w którym Bóg jest w szczególny sposób obecny. Kiedy próbujemy ustalić to, co jest specyficznie chrześcijańskie, i co stanowi o Kościele, to powiedzieć nam trzeba, że właśnie to wyznanie „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”, które złożył Piotr u samych początków, rozwinięte przez kolejnych Apostołów i rozwinięte przez teologię chrześcijańską, ono stanowi sam trzon naszej wiary. Bóg, w którego wierzymy, to jest Ojciec, Syn i Duch Święty. Piotr wyznaje tę niezwykłą obecność Boga w Jezusie. Wiemy, że Bóg jest jedyny — ileż to razy mówiliśmy — ale nie jest sam. Nie potrafimy tego inaczej opisać, nasz język zawodzi. Bo w tym, co dotyczy tego, co najważniejsze, nasz język zawsze jest ułomny. Zatem używamy języka filozofii greckiej, używamy języka wiary biblijnego Izraela, próbujemy te pojęcia wykuwać, przetwarzać, starać się zrozumieć. Niedawno mieliśmy uroczystość Trójcy Przenajświętszej. Mówimy, że są trzy Osoby Boskie, ale jedna Natura. Próbujemy, żeby nasz język opisywał coś, czego nie jesteśmy w stanie pojąć. Tutaj szczególnie Azja Mniejsza, Turcja z jej miejscami, w których odbywały się sobory: nicejski, konstantynopolitański, chalcedoński, efeski. Te wszystkie miejsca to były miejsca, w których formowała się nasza wiara. Przetwarzała się w języku. Kim jest Jezus? Jak to wyrazić? Jest Bogiem, to prawda. Ale jak jest możliwe, żeby w człowieku był obecny Bóg? Tak kształtowała się teologia, tak kształtowały się ogromne podręczniki. I my jesteśmy spadkobiercami tego dziedzictwa. Nie potrafimy tego powiedzieć do końca jasno, przejrzyście, bo nie może człowiek niewidomy opisać piękna ogrodu. Może sobie tylko ten ogród wyobrażać. Może go sobie przypominać, jeżeli kiedykolwiek widział. Dlatego najpiękniej opisują Boga, przedstawiają Boga święci. Nie ci, którzy mają błyskotliwy rozum, ale ci, którzy potrafią Nim żyć.

Piotr składa wyznanie. Inni opowiadali o Jezusie. Piotr Jezusa wyznaje. Oto jest różnica między nie-chrześcijanami a chrześcijanami. Między tymi, którzy do Jezusa nie przynależą albo Go nie znają, a tymi, którzy są Jego uczniami. My wyznajemy Jezusa. To jest coś więcej, niż wiedzieć o Nim, nauczyć się, usłyszeć, czy nawet przyjąć. My wyznajemy bo uznajemy w Nim to, czego do końca rozumem zgłębić nie możemy. A mianowicie uznajemy i wyznajemy w Nim wielką, niezwykłą, niespotykaną, jedyną w swoim rodzaju obecność Boga. A wtedy:

Na to Jezus mu rzekł: «Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie.

Wyznanie Jezusa nie jest tylko owocem naszego namysłu, rozsądku, intelektu czy dobrej woli. W wyznaniu obecny jest Pan Bóg. Oddajemy Panu Bogu coś z tej łaski, którą nas obdarza. Być może są inni ludzie, którzy tej łaski tak nie doświadczają. I musimy być wobec nich również wyrozumiali. Ale skoro my wyznajemy Jezusa, to zobowiązani jesteśmy do tego, by pamiętać, że to jest łaska, która przychodzi do nas z zewnątrz. Bo Bóg nas pierwszy umiłował.

Moglibyśmy ten wątek kontynuować, ale na koniec zwrócę uwagę tylko na jeden szczegół. Na kontrast przeogromny między tym, co do tej pory powiedzieliśmy, a tym, co za chwilę się wydarzyło. I ten kontrast zilustrujemy słowami Ojca Świętego. Mianowicie ledwo Piotr Jezusa wyznał, a natychmiast został przez Niego napomniany. Okazało się, że powiedział prawdę, ale prawdę, którą rozumiał po swojemu. Wyobrażał sobie los Mistrza pozbawiony cierpienia, męki, śmierci. Wyobrażał sobie Mesjasza, który przyjdzie w chwale, który powali swoich przeciwników, który zaprowadzi porządek i pozwoli Apostołom zażywać radości tego świata. Znamy ten epizod.

Odtąd zaczął Jezus wskazywać swoim uczniom na to, że musi iść do Jerozolimy i wiele cierpieć od starszych i arcykapłanów, iuczonych w Piśmie; że będzie zabity i trzeciego dnia zmartwychwstać. A Piotr wziął Go na bok i począł robić Mu wyrzuty: «Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie». Lecz On odwrócił się i rzekł do Piotra: «Zejdź Mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą, bo myślisz nie na sposób Boży, lecz na ludzki».

Przed chwilą pochwalony, teraz został nazwany szatanem! Bo okazało się, że wyobraża sobie Jezusa po swojemu. Nie brakuje chrześcijan, i wśród nas, i w nas samych, tendencji, byśmy wyobrażali sobie Jezusa po swojemu. Gotowiśmy złożyć wyznanie wiary, ale jednocześnie mamy swój własny obraz Zbawiciela. Posłuchajmy, jak ten fragment skomentował Jan Paweł II. Mówił tak (str. 28, wyd. 1994):

Tak więc Piotr nie lękał się Boga, który stał się człowiekiem. *Natomiast lękał się o Syna Bożego, jako człowieka.* Nie mógł bowiem przyjąć, iż będzie On bicowany i cierniem ukoronowany, i w końcu ukrzyżowany. Tego Piotr nie mógł przyjąć.

Nie mógł przyjąć losu Jezusa takim, jaki ten los miał być. Chciał go przyjąć takim, jakim go sobie wyobrażał. To również dotyczy perspektywy naszego życia. Chcemy pójść za Jezusem, chcemy Go naśladować, ale po swojemu. A zwłaszcza stronimy od tego, co trudne. Papież zakończył tak ten wątek, ten fragment:

Tego się lękał. I Chrystus za to Piotra surowo *skarcił.* Ale go *nie odrzucił.*

Nie odrzucił tego człowieka, który miał dobrą wolę i gorące serce.

Właśnie wielu chrześcijan, nawet jeżeli nie potrafi żyć tak, jak Chrystus tego chce, to ma zapewne dobrą wolę i gorące serce. I chociaż nie zawsze rozeznanie o Chrystusie jest właściwe, to Chrystus potrafi nas skarcić, ale nas nie odrzuca tak, jak nie odrzucił Piotra.

I do tego samego fragmentu jeszcze jeden komentarz, tym razem Ojca Świętego Benedykta XVI. Papież medytował tak (str. 250, wyd. 2007):

Wiemy przecież, że przez całe wieki, także dzisiaj, chrześcijanie posiadający właściwe wyznanie wiary ciągle muszą być pouczani przez Pana, że we wszystkich pokoleniach Jego droga nie jest drogą jego ziemskiej władzy i chwały, lecz jest drogą krzyża. Wiemy i widzimy, że również dzisiaj chrześcijanie – my sami – bierzemy Pana na stronę, by Mu powiedzieć: „Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie!” (Mt 16,22). A ponieważ wątpimy, czy Bóg będzie bronił, próbujemy wszelkimi sztuczkami sami temu przeszkodzić. Dlatego i nam Pan musi od czasu do czasu powtarzać: „Zejdź Mi z oczu, szatanie!” (Mt 8,33). I w ten sposób cała ta scena nie przestaje być niepokojąco aktualna. Bo u podstaw naszego myślenia ciągle pojawia się nie Objawienie, które powinniśmy przyjąć wiarą, lecz „ciało i krew”.

Kościół, którego fundamentem stał się Piotr, zawsze staje wobec tej samej pokusy, która znalazła swój wyraz pod Cezareą Filipową. Nawet jeżeli uznajemy Chrystusa i wyznajemy Go inaczej, niż inni ludzie, to chcielibyśmy zachować w sobie taki obraz Jego i jego działania, jaki nam odpowiada, jaki nam pasuje, jakim chcielibyśmy Go widzieć — a nie taki, jakim On jest. I dlatego w każdym pokoleniu chrześcijanie są napominani tak, jak napominany był Piotr. Napominani — ale nie odrzucani! Bo Chrystus cierpliwie prostuje nasz wizerunek. Kościół zawsze staje wobec pokusy tego, żeby był w nim przepych, bogactwo, chwała, potęga, wpływy, widowiskowość, splendor, pycha, i wszystkie przywary tego świata. Gdyby Kościół został pozostawiony sobie, gdyby polegał wyłącznie na ludziach, gdyby za Kościołem nie stał Bóg, który jest jego spoiwem, to już dawno by Kościoła nie było. Bo ci wszyscy, którzy go tworzą, zrobili bardzo wiele ku temu, by go podmyć, zniszczyć, zburzyć, nadwyrężyć, osłabić. Ale mocą Kościoła jest Pan Bóg, który każdego z nas i wszystkich, którzy są w Kościele, od czasu do czasu bierze na stronę i też upomina. My próbujemy brać Boga na stronę i wyobrażać sobie Kościół takim, jakim chcielibyśmy go widzieć. Ale w decydujących momentach Bóg mówi: „Zejdź Mi z oczu, szatanie!”. W decydujących momentach widzimy, że w Kościele dzieje się coś złego, coś, co nie powinno mieć miejsca. I że Kościół wymaga naprawy, powrotu, pojednania, że wymaga zwrócenia się do Chrystusa.

A więc ta eklezjologia, te nasze myślenie o Kościele, jest w gruncie rzeczy zakorzenione w tym, co przeżywał Jezus ze swoimi uczniami. Tamte prapoczątki Kościoła są obrazem Kościoła wszystkich czasów, i także obrazem Kościoła dzisiejszego. Nie ma innego Kościoła niż ten, w którym my

jesteśmy. I w tym Kościele świętość i słabość istnieją nie tylko obok siebie, ale ze sobą, a nawet wzajemnie się przeplatają. Jednak tam, gdzie udręczony i zwodzony różnymi pokusami człowiek nie może, to tam Pan Bóg zaczyna czynić cuda. I dlatego Kościół istnieje. I dlatego bramy piekielne go nie przemogą. I dlatego w Kościele zawsze są potrzebni wiarygodni świadkowie Boga. A są nimi ci, którzy potrafią pójść za Chrystusem, i nie tylko Go słuchać, ale Go naśladować. I to na nich Kościół się opiera, i na nich Kościół się wznosi. I nawet jeżeli doraźnie muszą cierpieć, przegrywać, znosić ośmieszenie czy rozmaite udręki, to w dalszej perspektywie, i w każdej perspektywie racja jest po ich stronie. Dlatego że tam jest racja, gdzie jest Pan Bóg i jego obecność.

Taka byłaby pointa rozważań na temat Kościoła. Myślę, że powinniśmy uświadomić bardzo ważną rzecz — że losy Kościoła zależą od każdego człowieka, który ten Kościół tworzy. Że stale pojawia się pokusa, żeby żyć inaczej, brać Boga na stronę i napominać Go. I stale pojawia się ta rzeczywistość nawrócenia, w której Pan Bóg nam ciągle przypomina jak powinniśmy żyć nawet, jeżeli dzisiaj tak żyć nie jesteśmy w stania.

Bardzo, bardzo serdecznie państwu dziękuję.

oklaski, podziękowania ks. Profesorowi i ks. proboszczowi . . .

Dziękujemy bardzo państwu, naprawdę bardzo państwu dziękujemy. Są państwo naszą siłą, i moją też. Nieraz obaj jesteśmy zmęczeni, ja też, bo mnóstwo różnych zajęć. Ale kiedy przychodzimy i patrzymy na państwa od wielu, wielu lat, to jest ogromna radość. Na tym polega również ta siła i ta moc Kościoła, która wciąż przyciąga tych, którzy szukają Pana Boga i Jego prawdy.

Mam nadzieję, że po wakacjach znów w październiku wznowimy nasze konferencje. Mam już w głowie pewien projekt. Mam nadzieję, że będzie dostatecznie ciekawy, dostatecznie interesujący. I w ten sposób byśmy zaczęli w październiku dwudziesty pierwszy rok naszej wspólnej pracy. Pewnie są tacy, którzy zaczynali, są tacy, którzy dochodzili. Tak czy inaczej jest to takie dobre, w sensie uczestnictwa państwa, podyplomowe studium biblijne.

Bardzo dziękuję za ofiary. Tak się złożyło, że ta część pójdzie na Ukrainę, a część — za dwa tygodnie kilkanaścioro naszych studentów, takich studiujących Pismo Święte, ma taki promocyjny wyjazd do Ziemi Świętej. Więc też postaramy się, żeby tą życzliwość państwa odczuli.

Bardzo dziękuję! Dobrych, radosnych, spokojnych wakacji, i do zobaczenia — jeśli Bóg da. Pod Twoją obronę . . . Pochwalony Jezus Chrystus! Do zobaczenia!